

W poszukiwaniu busoli

Wachlarz epitetów, jakimi obdarzani są obywatele krytyczni wobec kierunku, w jakim zmierza Europa jest standardowy i dość zleżały: wyborcy tacy oskarżani są (przynajmy: nie zawsze bezzasadnie) o populizm i nacjonalizm. Do pakietu z reguły dorzucany jest konserwatyzm obyczajowy, czasem rasizm, czasem faszyzowanie. Novum w tej palecie, barwną łata, która jaśniej na nieco już zleżałym materiale okazują się współcześnie „postawy antyzachodnie”.

Wyznaczania kierunków świata nauczyliśmy się, kto miał szczęście, jeszcze w zuchach, kto nie – na zajęciach z geografii. Albo banalna busola, albo zabawy z topografią: mech porasta głązy, jak wiadomo, od północy, mrowisko ma najdłuższy bok od strony południowej, w taką stronę rozrastają się gałęzie rosnących samotnie drzew, ptaki zaś, skądś wiedząc, że *ex Oriente lux*, starają się, by wylot dziupli skierowany był na wschód. Rozrysowawszy to sobie obcasem trampka na piasku, nietrudno było skierować się, jeśli tak wynikało z mapy czy znaków patrolowych, również na zachód.

Gdybyż było to równie proste na płaszczyźnie politycznej! Tu, jeśli pomocą mogły służyć mrówki, to najwyżej te z kart „Fedona”. Jak pamiętamy, ci, którzy praktykując cnoty szczególnie ważne dla polis, zdaniem barczystego filozofa mogli mieć szanse ponownych narodzin

jako członkowie rządnej, dobrze zorganizowanej, szeleszczącej chityną społeczności. Jest to jednak nader wątła wskazówka – i na szukaniu, a już z pewnością definiowaniu „Zachodu” można było zęby zjeść.

Inna rzecz, że dociekanie tego od co najmniej dwustu lat stanowi jedno z ulubionych przedmiotów niepróżnującego próżnowania mędrków i mędrków. Wspaniała kwadratura koła, wymarzony temat eseju, evergreen konferencji i seminariów, z którym konkurować mogą chyba tylko rozważania na temat jednorożca politologii, jakim jest Europa Środkowa (Czy istnieje? Czy istniała? A jeśli tak, gdzie można ją zaobserwować: na ziemiach dawnych Austro-Węgier czy w trójkącie trzech mórz?).

Nie wszyscy (na szczęście) mają w kwestii cywilizacji Zachodu równie stanowcze zdanie jak Feliks Koneczny. Większość jednak, od Norwida do Arnolda Toynbee, jednym głosem wymieniała Akropol, Kapitol i Golgotę, rozwijając następnie już to myśl o poszukiwaniu prawdy i prymacie prawa, już to o etyce miłości bliźniego, już to prymacie autonomicznej jednostki nad zbiorowością, dwuwładzy duchowej i świeckiej, poszanowaniu wartości prywatnej i rodziny. Definicje dziwnie łatwo zmieniały się w laurkę, wszyscy jednak, niczym zespół linoskoków, wędrowali na napowietrznych niciach między trzema założycielskimi wzgórzami.

Jakaś robocza definicja Zachodu obowiązywała zresztą również w oczach jego krytyków, przestrzegających przed jego zmierzchem, upadkiem lub zagładą. Tu, wiadomo, aluzyjnie wskazał kierunek sir Edward Gibbon, którego śladami podążał choćby Otto Seeck i wielu innych badaczy chcących wiedzieć, co zatruło Rzym: ołów, barbarzyńcy

czy chrześcijaństwo? To od Gibbona historycy idei wywodzą refleksję, która w angielskim doczekała się terminu „declinism” (w polszczyźnie nadal zadawałamy się takimi słowy jak „przestrogi” lub „jeremiady”). Pierwszym ideologiem schyłku współczesnego Zachodu był oczywiście Oswald Spengler ze swoim „Zmierzchem...”, a potem już poszło: Schmitt, Paul Kennedy („The Rise and Fall of Great Powers”, 1987), Fareed Zakaria („The Post American World”, 2008), Thilo Sarrazin, Rémi Brague, Edward Luce i Éric Zemmour („Le Suicide français” z 2014, w Polsce wydane dwa lata temu), a z rzeczy jeszcze ciepłych, z lata tego roku, Samir Puri i „Westlessness: The Great Global Rebalancing”. Zawsze zdumiewa mnie, że wśród tych autorów nie jest jednym głosem wymieniany Leszek Kołakowski ze swym „Samozatruciem społeczeństwa otwartego” oraz „Cywilizacją na ławie oskarżonych”.

Nawet jednak i bez Kołakowskiego lista krytyków i proroków „zmięzchu Zachodu” jest całkiem pokaźna. Jak dotąd zarzucano im nieraz, owszem, czarnowidztwo, lecz nie zdradę czy samobójczy atak.

Co jednak wolno było (do czasu) filozofom, to nie wam, wyborcom. Takie przynajmniej wrażenie odnieść można od kilku lat obserwując, jak komentowane są decyzje, podejmowane przy urnie przez obywateli, którzy usiłują (być może nieporadnie) wyrazić swój krytycyzm wobec tych samych procesów i zjawisk, o których ośmielali się pisać Zakaria, Kołakowski czy Zemmour: postępującej anomii, rozzięwu między światem elit i „zwykłych ludzi”, dekomponowania czy piętnowania tradycyjnych tożsamości zbiorowych, wzorców tworzenia i funkcjonowania rodziny, inicjatyw na rzecz nasilenia imigracji czy przyspieszenia procesów globalizacyjnych, wspierania hedonizmu, rozbudowy struktur cenzury czy ograniczania wolności słowa.

Oczywiście, wachlarz epitetów, jakimi obdarzani są krytycy jest zwykle standardowy i dość zleżały: pojawiają się oskarżenia wyborców (przynajmy: nie zawsze bezzasadne) o populizm i nacjonalizm. Do pakietu z reguły dorzucany jest konserwatyzm obyczajowy, czasem rasizm (lub przynajmniej „suprematyzm białych”), czasem faszyzowanie. Novum w tej palecie, barwną łata, która jaśniej na nieco już zleżałym materiale okazują się współcześnie „postawy antyzachodnie”.

Termin ten byłby z pewnością zrozumiały w kontekście zimnej wojny i ówczesnej propagandy bloku komunistycznego, w której istotnie o antyzachodniość nie było trudno. Bez trudu wyobrażam sobie akcenty antyzachodnie w wielu, ciężko doświadczonych przez europejskie metropolie i kupców dawnych koloniach, szczególnie tych, które niedawno wybiły się na niepodległość i w których, wobec wielości doznanych krzywd, niełatwo o wyważoną ocenę minionej epoki. Coraz częściej jednak „postawy antyzachodnie” przypisywane są wyborcom krajów już to stanowiących rdzeń Zachodu, już to szczególnie ciężko doświadczonych oderwaniem odeń i przez kilka pokoleń piastujących jego idealizujące wyobrażenia. Wyborcom, dodajmy, nie wzywających do wysadzenia w powietrze katedr i zaorania uniwersytetów, odpalenia skierowanych na Rzym pocisków i spopielenia Luwru, upaństwowienia banków i skierowania burżujów do pożytecznej pracy na kartofliskach (które to cele uważano dotąd za „antyzachodnie”) – a jedynie skonsternowanych nieco tym, co „The Guardian” chwali, a politycy coraz częściej wcielają w życie.

Brak mi, niestety, czasu, by prowadzić odpowiednio systematyczne zapiski, nie potrafię więc odesłać do konkretnych tekstów – przysięgłbym jednak, że zarzut „anty Zachodniości” pojawiał się już przy okazji źle widzianych wyników niedawnych wyborów we Francji, we Włoszech czy w Austrii. Ba, w Stanach, tym mateczniku Zachodu! No i w Polsce, przynajmniej do wyborów ostatnich. Z całą pewnością jednak spotkałem się z tym terminem przy okazji kilku analiz, których autorzy usiłowali się uporać z fenomenem triumfu w pierwszej turze wyborów prezydenckich w Rumunii Călina Georgescu.

Żeby było jasne: ani mi Georgescu brat, ani swat; wiem o nim, jak niemal wszyscy, niewiele, prowadzenie kampanii na Tik-Toku (czy jednak nie była to próba „obejścia” medialnego mainstreamu) budzi we mnie równie mało entuzjazmu, jak krytyka Sojuszu, oskarżenia o wspieranie jego kampanii przez kremlowskich oligarchów wymagają wyjaśnienia, przychylność wobec Corneliu Codreanu i duchów „Żelaznej Gwardii”, nawet, jeśli jest obiegowym zarzutem (bo mało kto z telewizyjnych komentatorów śledził jego wystąpienia sprzed dwóch lat), brzmi fatalnie.

Spora część jego kampanii odwoływała się jednak – oczywiście, z tą dawką demagogii, od której żadna kampania wolna nie jest – do panoramy społecznej i kulturowej współczesnej Europy Zachodniej, która nie tylko w oczach rumuńskich intelektualistów budzi smutek, jeśli nie przerażenie. Podobne motywy pojawiały się podczas wspomnianych wyżej kampanii wyborczych w kilku krajach „jądra Zachodu” czy jego obrzeży – i z całą pewnością pojawiać się będą w kolejnych.

Oczywiście, można troskę o dziedzictwo Zachodu – zarówno materialne, jak kulturowe, jak to najbardziej niepochwytne, czyli o napowietrzne liny rozpięte między Akropolem, Kapitołem i Golgotą, o to, co z napięć między nimi wynikło – określać terminem „postaw antyzachodnich”.

Można, i pół biedy, jeśli jest to pospolitą demagogią tych, którzy utraty władzy się obawiają. Gorzej, jeśli takie oceny wynikają ze szczerego przekonania, że niechęć do cenzurowania prywatnych maili, drakońskich wyroków dla opozycyjnych demonstrantów w Wielkiej Brytanii czy wypierania ikonografii chrześcijańskiej z przestrzeni publicznej to postawy antyzachodnie. Oznacza to bowiem, że mamy do czynienia z burzą magnetyczną (w umysłach ekspertów), wobec której każda busola okaże się bezradna.

Wojciech Stanisławski